



Adam Wajrak

LOLEK

ilustracje Mariusz Andryszczyk



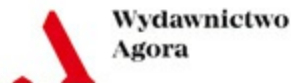
Adam Wajrak

LOLEK

**Ilustracje
Mariusz Andryszczyk**

WARSZAWA 2017

REDAKCJA **Karolina Oponowicz**
KOREKTA **Marta Śliwińska**
OPRACOWANIE GRAFICZNE **Elżbieta Wastkowska**
PROJEKT OKŁADKI I ILUSTRACJE **Mariusz Andryszczyk**



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE:
DYREKTOR WYDAWNICZY **Małgorzata Skowrońska**
REDAKTOR NACZELNY **Paweł Goźliński**
KOORDYNACJA PROJEKTU **Katarzyna Kubicka**

© Copyright by Agora SA, 2017
© Copyright by Adam Wajrak, 2017
© Copyright by Mariusz Andryszczyk, 2017

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2017

ISBN: 978-83-268-1984-1 (EPUB), 978-83-268-1985-8 (MOBI)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Rozdział 1. Największe marzenie

Rozdział 2. Drugi dom

Rozdział 3. Łańcuch

Rozdział 4. Czyj to pies?

Rozdział 5. Koperta pełna cudów

Rozdział 6. Zdrada nowych ludzi

Rozdział 7. Imię z Andaluzji

Rozdział 8. Magiczna moc kurczaka

Rozdział 9. Ja pilnuję tego domu

Posłowie

Rozdział 1.

NAJWIĘKSZE MARZENIE

„Biegnij, Lolek! Biegnij!”, myślał Lolek, który wtedy nie był jeszcze Lolkiem i nie wiadomo, jak się nazywał. Biegł, ile sił. Biegł przed siebie. Biegł na wschód, choć nie miał pojęcia, że tak się to akurat określa. Wiedział tylko, że tam pojawiało się codziennie słońce, które dawało mu odrobinę ciepła. Na zimnych polach, po których hulał lodowaty wiatr, nie było się gdzie schować. Co noc Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, zwijał się w kłębek na zamarznętej na kość czarnej ziemi, gdzieniegdzie przykrytej białym śniegiem. I tak zwinięty czekał na rano, kiedy nad horyzontem pojawiało się słońeczko.



To był jego jedyny przyjaciel, który – choć z bardzo daleka – dbał o niego. Obejmował go ciepłymi promykami i ogrzewał. Słońko było w porządku. Najbardziej w porządku ze wszystkich istot, które dotychczas poznał. Jego ciepła bardzo potrzebował. Długie włosy okropnie mu się splątały i z miłej sierści przekształciły się w zimne i twarde kołtuny.

Na dodatek Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, miał pusto w brzuchu. Przez te wszystkie dni, od kiedy zaczął uciekać, jadł tylko raz. Właściwie trudno to nawet nazwać jedzeniem. Spod śniegu wydrapał marną kość, ale była już tak wywietrzała, że nie zainteresowały się nią nawet mieszkające na polach lisy, które przecież zimą też się nadmiernie nie objadały. Pogryzł ją trochę dla samego pogryzienia czegokolwiek, ale smakowała jedynie zamarzną ziemią i śniegiem.

O tak, z zagród i domostw daleko na horyzoncie pachniało

pysznościami. Tylko że akurat tego zapachu Lolek bardzo się bał. To dlatego chciał jak najszybciej zapomnieć o swoim imieniu. A przecież dla każdego psiaka jego imię to najważniejsza rzecz na świecie. Każdy psiak, gdy już odnajduje swojego człowieka, dostaje imię. To znak ich więzi na zawsze. Symbol dozgonnej miłości i przyjaźni. Nie wiadomo dokładnie, jak ludzie te imiona wymyślają, ale z pewnością pieski mają w tym swój udział. Na przykład jeden robi coś bardzo szybko i dostaje na imię Błysk. Inny pokazuje, jaki jest puchaty, i zostaje Miśkiem. Jeszcze inny udowadnia, że jest szczęściarzem, i wtedy zaczynają na niego wołać Fuks. A jak któryś jest wyjątkowo miły, to zostaje Milusią.



Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, też dostał kiedyś imię. To musiało być dawno, przynajmniej tak mu się wydawało. Bo pieskom czas płynie inaczej niż ludziom – psi tydzień może trwać tyle

co ludzki miesiąc. Lolek był wtedy całkiem mały i przypominał czarno-białą puchatą kulkę. W pierwszym domu było skromnie, ale dobrze. Mieszkali z rodziną w budzie. Codziennie dostawali pełną miskę kaszy gryczanej z tłuszczem, a czasami nawet kość. Mama miała za zadanie pilnować podwórka, a szczególnie kaczek i kur, po które zakradały się lisy z pól. Nie była zwykłą wiejską kundelką o krótkich łapkach. Podobno w jej żyłach płynęła arystokratyczna krew kudłatych nizinnych owczarków polskich, psów, w naturze których leży stróżowanie. Mamy nikt nie wiązał, nie przypinał do łańcucha i nie zamykał. Była wolna i mogła biegać, gdzie chciała. Taty Lolek nigdy nie widział, ale słyszał o nim – o szalonym border collie, którego podobno rozpierała energia i który całe dni spędzał na bieganiu za różnymi przedmiotami rzucanymi mu przez ludzi. Przyjechał w okolice pierwszego domu Lolka z miasta ze swoimi ludźmi. Był maj, łąki pachniały wspaniale i latały nad nimi motyle. Mama od razu się w nim zakochała. Latem na świat przyszedł Lolek, jego dwie siostry i trzech bracia.

Lolek uwielbiał się przytulać do mamy i bawić się ze swoim puchatym rodzeństwem. Grali w berka i w chowanego albo urządzali szalone gonitwy wokół budy. Jednocześnie, tak jak każdy pies, Lolek marzył o tym, żeby w końcu pojawili się jacyś ludzie, od których dostanie swoje imię. I pojawili się. Pewnego ciepłego jesiennego dnia, gdy nad łąkami unosiły się nitki pajęczyn. Przyjechali samochodem. Takim dziwnym warczącym stworzeniem, które wozi ludzi tam i z powrotem. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, dobrze zapamiętał jego dźwięk i zapach. Nie spodobały mu się, nie zapowiadały niczego dobrego. I rzeczywiście, od tego spotkania z ludźmi zaczęło się wszystko to, przez co musiał teraz biec lodowatymi polami i przez co chciał zapomnieć swoje pierwsze imię.

Początek ich znajomości – pomijając samochód – był całkiem

sympatyczny. Kiedy para podeszła do budy, dwie siostry i trzech bracia Lolka schowali się, a on od razu podbiegł do ludzi. Na przywitanie stanął na tylnych łapkach, a wyprostowanymi przednimi zamachał radośnie. Robił tak, gdy bardzo się cieszył i miał ochotę na zabawę z rodzeństwem.



– O rany, on robi jak jakiś konik – powiedział piskliwy kobiecy głos.

– Konik nie konik, my potrzebujemy psa. A ten jest taki wrywny, znaczy się odważny. Nada się – odparł gruby męski głos.

„Och, jak dobrze! Odnalazłem swoich ludzi i teraz będę się mógł z nimi bawić, biegać, będę ich pilnował, a oni będą się mną opiekować”, pomyślał Lolek. A gdy olbrzymie dłonie chwyciły go i uniosły do góry, poczuł tylko odrobinę strachu, bo tak naprawdę rozpiełała go radość i był wszystkiego ciekawy. „To są moi ludzie.

Nareszcie!” – cieszył się. Wielkie dłonie zaniósły go do warczącego samochodu i posadziły na gumowej wycieraczce. I wtedy stało się coś strasznego. Trochę ze szczęścia, trochę ze strachu przed tym dziwnym warkotem i zimnem wycieraczki Lolek nie wytrzymał i zrobił to, co każdy młody psiak robi w takiej sytuacji.

– Ojej, on się zsiusiał – zawołał Piskliwy Głosik.

– W moim samochodzie?! – Gruby Głos zahuczał jak nadciągająca letnia burza. – Ja mu dam!

Pierwszy cios zadany wielką ręką zabolął strasznie. Nie tylko dlatego, że był mocny i trafił w nos, ale również dlatego, że przecież tego Lolek od swoich ludzi, których pokochał bezwarunkowo, się nie spodziewał. Na jednym uderzeniu się nie skończyło. Lolek skulił się w kącie warczącego potwora. Od tego czasu nie lubił samochodów.

Rozdział 2.

DRUGI DOM

Nowy dom nie był daleko od starego. Minęły zaledwie dwie psie godziny (czyli pół ludzkiej) warczenia i podrygiwania na wertepach, po czym wszystko nagle przestało warczeć i podrygiwać. Drzwi samochodu się uchyliły, silne ręce uniosły Lolka, który natychmiast zdrętwiał, i posadziły na suchej, kurzącej się ziemi. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, ani drgnął. Stał z podwiniętym ogonkiem. Bez ruchu, bo tak robią psiaki, gdy czują się niepewnie. Ale to, że się nie ruszał, nie znaczyło, że nic nie robił. Wciągał do swojego niewielkiego szczenięcego nosa zapachy, uszy wyłapywały wszelkie nowe dźwięki, a oczka, choć schowane pod opadającymi na nie włosami, które podobnie jak całą kudłatość odziedziczył po mamie, rejestrowały każdy ruch. I te oczka od razu zauważyły kury.



Kury były też w pierwszym domu. Świat kur i piesków rzadko się przenika, ale tym razem Lolek się ucieszył. Zawsze to coś znajomego. Cichutkie kwakanie wyłapanie przez wrażliwe uszy oznaczało, że gdzieś tu są również kaczki. To też dobrze. Ale reszta była już trochę inna. W dali podwórka warczały jakieś maszyny, w powietrzu unosił się słodkawy, ale nieprzyjemny zapach smarów i bardzo przyjemny zapach trocin. Chodzili tam jacyś ludzie z długimi i krótkimi kawałkami drzewa. Z drugiej strony stał dom, ale

wyglądał inaczej niż ten, w którym mieszkali ludzie mamy. Nie był małą drewnianą chatką o czterech oknach, po dwóch z każdej strony drzwi. Ten okna miał u dołu i u góry. Do wejścia prowadziły schody z balustradą, a cały był jak żółtko ze świeżo rozbitego kurzego jajka. Dziwi was, że Lolek znał się na kolorach? Słyszeliście pewnie, że psy ich nie rozróżniają, ale to nieprawda. Widzą barwy, tylko trochę inaczej. Nowy dom był jak żółtko – znał je dobrze, bo kiedy kurze jajo przez przypadek się tłukło, mama dostawała je od swoich ludzi do zjedzenia. Dzieliła się tym z Lolkiem i pozostałymi dziećmi. Było pyszne, choć zlizywanie go zawsze wiązało się z oblepionym nosem.

Z tego domu jak żółtko pachniało wspaniale: obfitymi śniadaniem, obiadem, kolacją i nowymi dywanami, czyli czymś, co ludzie kładą na podłogę. I właśnie w kierunku tego domu ruszyli ludzie.

– No to masz psa i nie marudź – powiedział Gruby Głos.

– Ale to ani york, ani beagle – zaprotestował Piskliwy Głosik.

– Może i nie. Ale był za darmo. He, he – roześmiał się Gruby Głos.

– Idziemy na obiad – dodał.

I oboje szli dalej, zbliżając się do przyjemnych zapachów. „Trzeba iść za nimi”, pomyślał Lolek. Bo pieski już tak mają – wiedzą, że zawsze trzeba iść za ludźmi, a już szczególnie, gdy jest się szczeniakiem. Wielkie ściany były coraz bliżej, a wspaniałe zapachy stawały się coraz wyraźniejsze. Aż zakręciło mu się w głowie z psiego szczęścia. „Z tymi ludźmi będzie dobrze”, ucieszył się. Pokonał dwa schodki i właśnie postawił łapę na trzecim, gdy nogi należące do Grubego Głosu się zatrzymały.



– Gdzie do domu, kundlu?! – usłyszał Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem. Potężny kopniak zabolął strasznie. Zleciał ze schodków wprost na znajdującą się wokół domu kostkę brukową, tuż obok klombu.

– Jeszcze by tych swoich kłaków nanosił – wyjaśnił Gruby Głos.

– Beagle'e nie mają kłaków, a yorki mają śliczne włoski – odpowiedział Piskliwy Głosik.

Tymczasem mocna ręka należąca do Grubego Głosu chwyciła go za skórę na karku, przeniosła parę kroków i cisnęła w pobliże zbitej z desek budy. Zderzenie z ziemią odrobinę zabolęło. Lolek otrząsnął się jednak i zajrzał do budy. Była wysłana słomą, w środku leżała jakaś szmata. Na ścianie zauważył przybity do niej i trochę zardzewiały łańcuch. Obroży nie widział. Zamiast niej na końcu łańcucha sterczał zardzewiały drut. Taką pętlę musiał mieć na szyi poprzedni mieszkaniec budy. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem,

wolał o tym nie myśleć. Choć nikogo w pobliżu nie dostrzegł, znów skulił się ze strachu. Nie czuł się tu dobrze. To nie była buda mamy. Ciepła, przytulna i bezpieczna. Ta pachniała przerażeniem, bólem, ale przede wszystkim smutkiem kogoś, kto tu wcześniej mieszkał. Nie chciał do niej wejść, choć z nieba zaczęło najpierw siąpić, potem kropić, a wreszcie lać jak z cebra. Deszcz był zimny i nieprzyjemny. A woda powodowała, że długie włosy zlepiały się w nieprzyjemne strąki. Trzeba było się gdzieś schować. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, podkulił ogon i podreptał między kałużami do pobliskiej wiaty. Tam znalazł górkę świeżych trocin pachnących świerkową żywicą. Zakręcił się w miejscu, udeptując lekko trociny, po czym zwinął się w kłębek i zasnął. Było tu przyjemnie. Wkrótce miało się okazać, że to jedyne bezpieczne miejsce na jego nowym podwórku.



Rozdział 3.

ŁAŃCUCH

Kolejne dni po przeprowadzce nie były takie złe. Piskliwy Głosik wynosił z domu resztki po cudownie pachnących kolacjach i obiadach. Można było się nawet trochę pobawić. Gruby Głos nie zwracał uwagi na to, że psiak śpi na trocinach i nie chce wchodzić do budy. Tylko do żółtego, wspaniale pachnącego domu nie wolno mu było się zbliżać. Spróbował jeszcze ze dwa razy. Najpierw dostał potężnego kopniaka w żebra. A za drugim razem w tylną łapę. Kopniak w żebra bolał bardzo, ten w łapę na szczęście trochę mniej. Lolek zrozumiał – do domu wchodzić nie wolno. Nauczył się też, że kupę trzeba było robić daleko pod płotem, bo za zrobioną w innej części podwórka była kara.

Rósł w oczach i choć jeszcze nie potrafił unosić łapy przy siusianiu – tak jak to robią dorosłe psy – to przestał już być szczeniakiem. Mleczne zęby wypadły mu jeden po drugim i zastąpiły je prawdziwe psie zęby. Jak miało się wkrótce okazać, nie oznaczało to dla niego niczego dobrego. Im był większy, tym mniej Piskliwy Głosik się nim interesował. Za to Gruby Głos coraz bardziej.

– Co ten kundel tu robi?! – darł się na jego widok. Czasami kopał,

a czasami tłukł kijem. Najgorsze było to, że psiak nie rozumiał, za co dostawał razy. Najczęściej za nic albo raczej za to, że się zwyczajnie napatoczył pod nogi. Wtedy trzeba było wiać pod wiatę z trocinami. Tam Grubemu Głosowi już się nie chciało chodzić. Tak naprawdę życie Lolka polegało na ukrywaniu się. Jednocześnie, choć życie z jego ludźmi było o wiele mniej przyjemne, niż to sobie wyobrażał, ba, chwilami bywało okropne, nic nie mogło zniszczyć jego psiej lojalności. Aż do pewnego zimowego dnia.

Było pięknie. Prószył śnieg i podwórko przykryła delikatna biała pierzynka. Prawdziwe psie zęby rosły, a to strasznie swędziało. Trzeba było coś pogryźć. To zawsze pomaga. Ale co? Prawdziwej kości Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, nie widział od dawna. Coraz częściej chodził głodny. Bardzo głodny. Szczapy drewna nie nadawały się do gryzienia, bo były ostre i pełne drzazg. I wtedy zobaczył stary gumowy but. Leżał sobie tuż przed szopą z trocinami. Porzucony.



Chwycił go w pysk i przeniósł parę kroków, a potem położył się, przycisnął łapami – jakby to była prawdziwa kość – i zaczął gryźć. Smakował starą gumą, ale tylko trochę, bo był już bardzo zwietrzały. „Co za przyjemne uczucie pogryźć coś mięsistego”, pomyślał z ulgą. Tak się w tym gryzieniu zapamiętał, że nie zauważył, co się dzieje za nim. A tam stał Gruby Głos. Był wściekły. Bywał taki już wiele razy i właśnie wtedy najboleśniej bił. Ale tym razem Lolek poczuł, że to nie jest zwykła wściekłość. To była wściekłość gigantyczna i zła.

– Buta mojego gryziesz, kundlu! – zabrzmiał tak strasznie jak nigdy wcześniej. Najpierw Lolek poczuł potężne uderzenie, po którym się skulił. Potem silna ręka chwyciła go i zawlokła do budy. Nawet nie zorientował się, kiedy zawisła mu na szyi pętla z łańcucha związana drutem. A potem znów dostał bolesnego kuksańca.

Okropny człowiek zniknął, a Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem i nie wiadomo, jak się nazywał, znalazł się w miejscu, w którym

pachniało smutkiem, bólem i strachem. Teraz również jego. Przez kolejne dni nie dostawał nic do jedzenia. Chyba że za jedzenie uznać to, co rzucał mu czasem Gruby Głos – kawałek starego chleba, skórkę od boczku, ziemniaka albo ogonek od kiełbasy. Ale częściej nic nie rzucał. Tylko podchodził i trach. Tak za nic.



Piskliwy Głosik też niekiedy mijał Lolka. Ale zupełnie nie zwracał na niego uwagi.

Tego dnia znów padał śnieg. Gruby Głos podszedł chwiejnym krokiem. Trzymał w ręku coś pachnącego. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, rwał się do tego, bo był bardzo głodny. Rwał się, choć ostry łańcuch już dawno przetarł włosy na szyi i powoli wrzynał się w skórę. Bolało, ale co z tego. Głód był silniejszy od bólu. I wtedy znów stało się nieszczęście. Chwytał w zęby nie to, co mu Gruby Głos chciał podać, tylko jego palec.

– Gryziesz mnie? Zaraz zobaczysz, kundlu! – wrzasnął i zniknął gdzieś w wiacie. Tej samej, w której były pachnące trociny. Po chwili wrócił, trzymając w ręku jakiś przedmiot. Trochę przypominał kij, ale był krótszy i zakończony czymś błyszczącym.

– Jak cię zaraz trzepnę tą siekierą... – zarechotał.

Lolek, który nie był Lolkiem, nic z tych słów nie rozumiał, ale domyślił się, że jest źle, bardzo źle. Gruby Głos był coraz bliżej. Zamachnął się tym czymś z błyszczącą końcówką. „Trzeba zrobić szybki unik jak zawsze”, pomyślał Lolek. Tego nauczył się już bardzo dobrze. Czasami udawało mu się dzięki temu uniknąć razów. Także tym razem szybciotko się skulił i przywarł głową do ziemi. Po chwili dziwny przedmiot z impetem trafił go w grzbiet. Drasnęło go w skórę. Zapiekło. Ale o tym Lolek zupełnie nie myślał. Wiedział, że musi natychmiast zerwać się z łańcucha. Zebrał wszystkie siły.



Łańcuch naprężył się jak struna i wpił się w szyję jeszcze bardziej. I wtedy stał się cud. Drut spinający łańcuch w pętlę pękł, a może zwyczajnie się rozprostował. Uwolniony Lolek wystrzelił jak z procy. Śmignął między nogami prześladowcy, który właśnie brał drugi zamach. Znów machnął bardzo mocno, ale tym razem trafił w pustkę. Zamach był tak silny, że Gruby Głos stracił równowagę i gruchnął o ziemię.

– Psiakrew! – wrzasnął, bo musiał solidnie rąbnąć pupą w zmrożoną na kamień glebę. Zabolało go, oj, zabolało. To była ta chwila, której psiak potrzebował. Przez otwartą bramę wybiegł na ośnieżone pola. Słyszał za sobą wrzaski Grubego Głosu próbującego wstać z ziemi. Ale z każdą sekundą były coraz cichsze. Biegł przed siebie, ile sił w łapach. A w głowie miał tylko jedną myśl: nigdy, przenigdy już nie ufać ludziom.



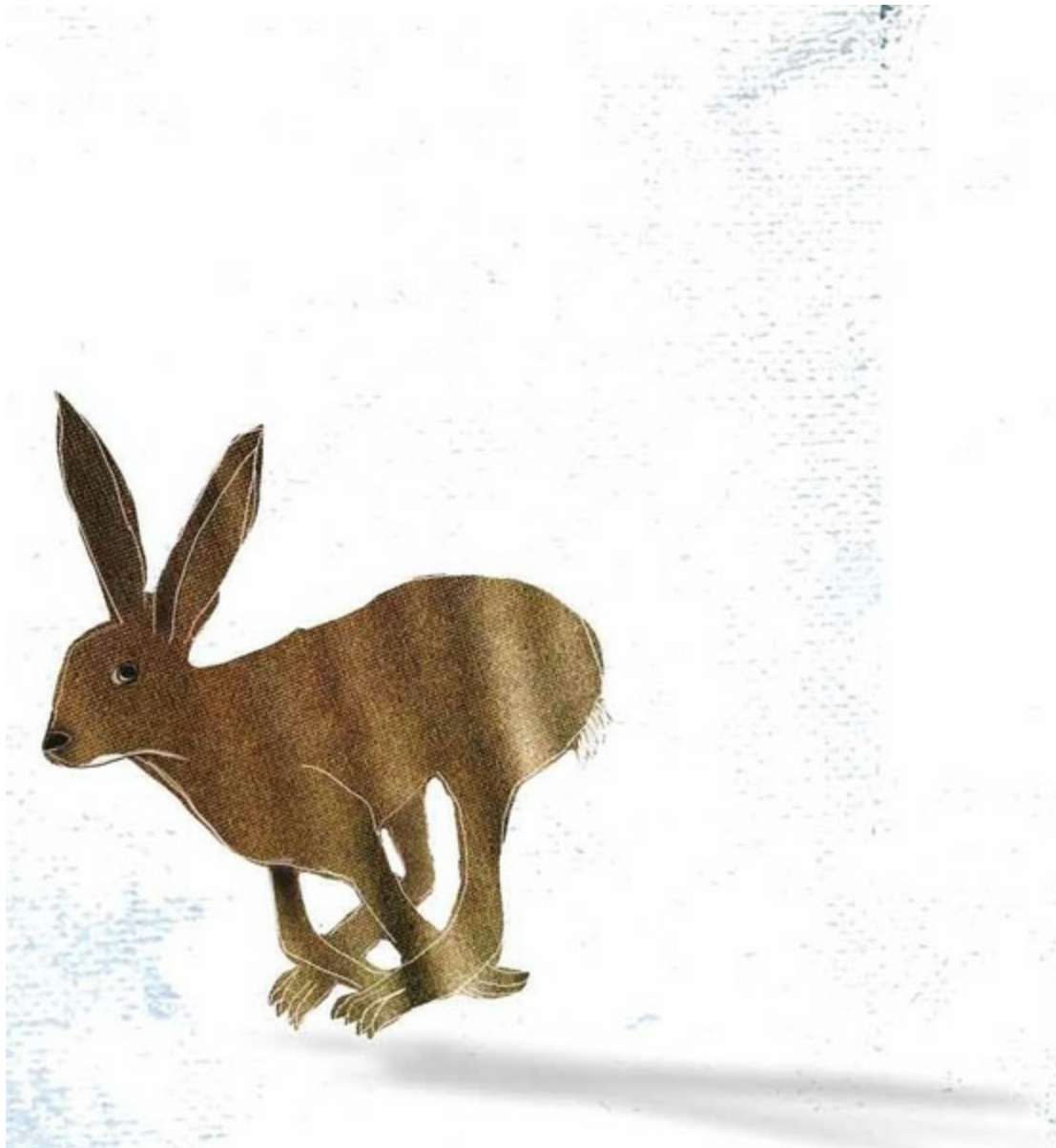
Biegł jeden dzień, drugi, trzeci i czwarty. A potem stracił psią rachubę. Każdy kolejny dzień wydawał się taki sam. Czasami bardziej wiało, a wtedy śnieg zamieniał się w unoszący się nad polami zacinający pył. Pola na pozór przypominały pustynię, na której jedynymi oazami były otoczone drzewami wioski. Ale wkrótce okazało się, że mają wielu mieszkańców. W nocy słychać było szczekanie i zawodzenie lisów, które w dzień przyglądały mu się nieufnie z daleka. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, napotykał też płowe polne sarny i stojące słupka zające. A raz wbiegł w stadko przycupniętych w śniegu kuropatw, które zerwały się z furkotem. Tak się ich przestraszył, że na chwilę zawrócił. Ale wkrótce, gdy już zniknęły mu z oczu, znów ruszył w stronę wschodzącego słońca.

Z początku mieszkańcy pól trochę się bali tego biegnącego przed siebie kudłacza. Sarny trzymały się z daleka, lisy omijały go szerokim łukiem, a zające uciekały w podskokach. Ale z upływem kolejnych dni mijane zwierzęta przestały zwracać na niego uwagę. Sarny dalej spokojnie skubały wystające źdźbła traw, zające odskakiwały tylko trochę, a lisy patrzyły na niego z zaciekawieniem. A to dlatego, że w czasie tej szalonej podróży Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, stawał się coraz bardziej cieniem psa. Mieszkańcy pól wiedzieli, że nic im nie może zrobić. Z każdym dniem był coraz bardziej głodny, a w łapach miał coraz mniej sił.



Gasł w oczach i biegł. Co z tego, że burczało mu w brzuchu. Był wreszcie szczęśliwym psiakiem, bo mógł biec i biec, a to kochał ponad wszystko. Na dodatek nikt go nie bił. Jeżeli to szczęście miało nie potrwać długo, trudno.

Zimno i głód robiły swoje. Lolek czuł, że powoli nadchodzi koniec jego psiego życia. Nie było strasznie, nie. Właściwie było nawet przyjemnie. Taka wszechogarniająca słabość. Łapy unosiły się coraz niżej i wolniej. Wlokły się jedna za drugą, a głowa opadała ku ziemi.



Przyszedł dziwny sen przeplatający się z jawą. W tym śnie jakiś zapach delikatnie podrażnił wnętrze jego nosa. Gdzieś bardzo daleko pachniało starymi oponami, smarami i żelazem. Wśród tych zapachów czuły psi nos wyłowił coś jeszcze. To była delikatna, ale wyraźna i znajoma woń. Gdzieś daleko pachniały świerkowe trociny.



Nos kazał Lolkowi iść w tamtym kierunku. Zmęczonymi oczami zauważył, że w krajobrazie też coś się zmieniło. Białe pola, które zlewały się z szarym niebem, coraz wyraźniej odcinała od niego czarna, postrzępiona niczym grzebień dinozaura krecha wielkiego lasu. Przed krechą było jeszcze gwarne miasteczko, pełne wszelkich zapachów i dźwięków, a przed miasteczkiem – dziwny budynek otoczony mniejszymi zabudowaniami.



To stamtąd pachniało trocinami. I co z tego, że byli tam ludzie. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, nie bał się, bo nie miał na to siły. Chciał się tylko położyć na trocinach i zasnąć. Ledwo idąc, minął niebieskie ogrodzenie i przez otwartą bramę wszedł na dziedziniec. Zaraz za nim przez tę samą bramę wjechał jakiś samochód. Ale Lolkowi było to zupełnie obojętne.



Rozdział 4.

CZYJ TO PIES?

Dom bez psa był jakiś taki pusty. A życie bez psa jest trochę jak szafa bez szuflady. Niby wszystko w porządku, ale czegoś bardzo brakuje. Mijał kolejny rok, od kiedy ostatni nasz psiak, słynna suczka Antonia, która wychowała wydrę i tropiła wilki, odeszła do psiego raju. Tęskniliśmy za nią bardzo. Nie tylko zresztą za nią. Nasz dom to był psi dom. Oprócz Antonii mieliśmy jeszcze dobrze wychowanego i delikatnego cocker-spaniela Trapa i puchatego mieszańca Joego. Na tego drugiego mówiliśmy też Miś Perełka. Był zwariowany, a jak się zdenerwował, to gryzł się w ogon. Kochaliśmy je wszystkie, chociaż życie z psiakami to nie jest taka prosta sprawa. Pies to nie tylko przyjemności takie jak długie spacery i zabawy, ale też masa obowiązków. Trzeba gotować mu jedzenie i regularnie karmić, a jak jest chory, trzeba jechać z nim do psiego doktora, a potem się nim opiekować.

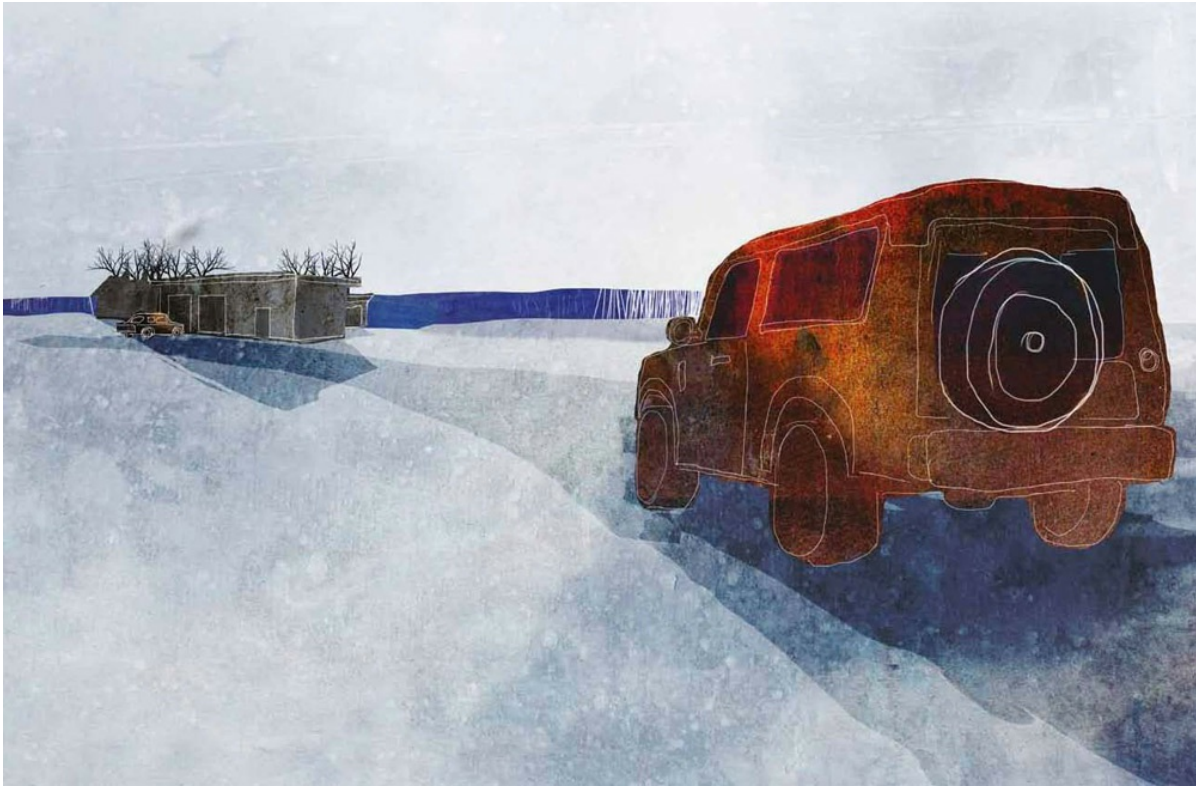
Niestety, na razie żaden pies nie chciał nas odnaleźć. Jak to „odnaleźć”? – zapytacie. Czy psiaka nie można zwyczajnie kupić? Można, choć trochę to głupie, skoro jest na świecie tyle psiaków, które nie mają domu. Poza tym kto to widział, żeby kupować przyjaciela albo członka rodziny. Najlepiej, jak pies sam nas

odnajdzie. To może być na przykład spotkanie w schronisku. Popatrzycie sobie w oczy i już jesteście odnalezieni, bo wy wiecie, że to jest wasz psiak, a on wie, że jesteście jego ludźmi. Albo tak jak Antonia odnalazła Nurię. Czekwała na nią pod Instytutem Biologii Ssaków w Białowieży, w którym Nuria pracowała jako badaczka wilków i kruków. Antonia była porzuconą młodą suczką ze złamaną łapką, ale bardzo wesołą. Bawiła się z dziećmi. A kiedy Nuria ją zobaczyła, to spojrzały na siebie i już były odnalezione. Ja na początku miałem z tym kłopot, bo byłem strasznym szpanerem i chciałem mieć rasowego psa, a nie jakąś kundelkę. Ale w końcu też się odnalazłem, bo okazało się, że Antonia to supertropicielka.

Od kiedy zabrakło naszych psiaków, a szczególne właśnie Antonii, czekaliśmy, aż wreszcie jakiś nas odnajdzie. Najpierw czekaliśmy tylko trochę, ale potem coraz bardziej. Czasami było już całkiem blisko. Kiedyś przyszedł do naszej wsi pies czarny jak węgiel, trochę brzydki, bardzo wystraszony i bardzo głodny. Tak głodny, że jadł kukurydzę, którą sąsiedzi dokarmiali żubry. Karmiliśmy go na podwórku u naszych przyjaciół, bo do domu bał się przyjść. Nas też się bał. W końcu podobno ukradł kanapkę pewnemu człowiekowi z kamiennym sercem. Ten zadzwonił po ludzi, którzy łapią bezpańskie psy, i wywieźli go do schroniska. Szukaliśmy, ale bez skutku.

Innym razem wracaliśmy samochodem z zakupów, gdy z lasu wyszła sunia owczarka niemieckiego. Nie dość, że była śliczna, to jeszcze okazało się, że zna masę komend. „Hop do wozu” – powiedzieliśmy, a ona od razu wskoczyła do samochodu. „Leż tu”, „Siad”, „Daj łapę”, „Zostań”. Umiała wszystko. Było to dla nas zaskakujące, gdyż nasze psiaki poddane beztroskiemu wychowaniu co najwyżej umiały podać łapę, i to tylko wtedy, gdy się je bardzo prosiło ze smakołykiem w rękę. Wydawało nam się, że ten owczarek

musiał być na służbie w Straży Granicznej albo policji i że zwyczajnie zgubił się w czasie jakiejś akcji. Ale ani jedni, ani drudzy się do suni nie przyznawali. W końcu odnalazł się jej właściciel. Przyjechał po nią, a ona na komendę „Hop do wozu” natychmiast wskoczyła mu do samochodu i razem pojechali do domu.



Czułem przez skórę, że nowy psiak nieprędko nas odnajdzie. Nadeszła zima i początek nowego roku. Puszczę przykrył śnieg. Jak to zwykle na początku roku bywa, trzeba było załatwić wiele spraw. Na przykład zrobić przegląd samochodu, żeby można było nim bezpiecznie jeździć. W miasteczku obok, a właściwie na obrzeżach tego miasteczka jest zakład, który bardzo lubimy, bo pracują tam solidni starsi panowie, bardzo dobrzy mechanicy. Noszą fajne niebieskie fartuchy albo spodnie ogrodniczek na szelkach. Dokładnie takie, jakie mieli mechanicy w czasach, gdy byłem dzieckiem.

Ruszyliśmy z domu. Zostawiliśmy z tyłu polanę, po której chodzą żubry i na której jest nasza wieś, potem wjechaliśmy na krótko do Puszczy, po to by znów minąć polanę, na której jest kolejna wieś. Dalej długo toczyliśmy się drogą, przy której rosną wielkie drzewa, a obok leżą – jak to w Puszczy – powalone pnie. W lecie jedzie się wtedy jak w zielonym korytarzu, ale była zima, i to na dodatek niezbyt przyjemna, bo choć padał śnieg, to było wilgotno. Przecieliśmy miasteczko i wyjechaliśmy na jego skraj, gdzie na polach stoi warsztat z sympatycznymi panami mechanikami. Brama w niebieskim metalowym płocie była otwarta i po chwili znaleźliśmy się na dziedzińcu. Zaparkowaliśmy tuż pod drzwiami prowadzącymi do zakładu, gdzie robi się kontrole i przeglądy samochodów. Oprócz dużego głównego budynku są tu też mniejsze. W jednym z nich jest kotłownia – tu panowie mechanicy palą w piecach. Drugi to magazyn – w środku zgromadzono na zimę worki z pachnącymi świerkowymi trocinami, które znakomicie palą się w piecu. Dzięki nim przyjemne ciepło rozlewało się po zakładzie, w którym zagłada się pod maski i pod podwozia samochodów, i po kanciapie, w której wypełnia się papiery.

Wysiedliśmy z samochodu. Chcieliśmy iść się zameldować miłemu panu mechanikowi, kiedy nagle zobaczyliśmy, że zza rogu budynku wyszedł pies. Właściwie nie pies, tylko jakiś koszmarny cień czegoś, co być może było kiedyś psem. To coś było chude i miało zapadnięte boki, widoczne mimo gęstych kudłów. A nawet nie kudłów, tylko zbitych kłaków, kołtunów i zlepionych błotem strąków. Pies, a raczej to, co niego zostało, patrzył na nas pustymi oczami. Nie było w nich niczego. Nawet psiego smutku. Pierwszy raz miałem przed sobą tak zabiedzone zwierzę.

– Co pan zrobił z tym psem?! Jak panu nie wstyd?! Zaraz wezwę tu policję, a jak będzie trzeba, to i telewizję – wybuchnąłem na widok

pana mechanika w niebieskim fartuchu, który właśnie wychylił się z drzwi zakładu. Jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Ale, proszę pana, to nie jest nasz pies! – pan mechanik był stanowczy. Wyglądał na tak samo zaskoczonego sytuacją jak my.

– To czyj on jest? – zapytałem z pretensją w głosie.

– Nie mam pojęcia, właśnie tu przyszedł.

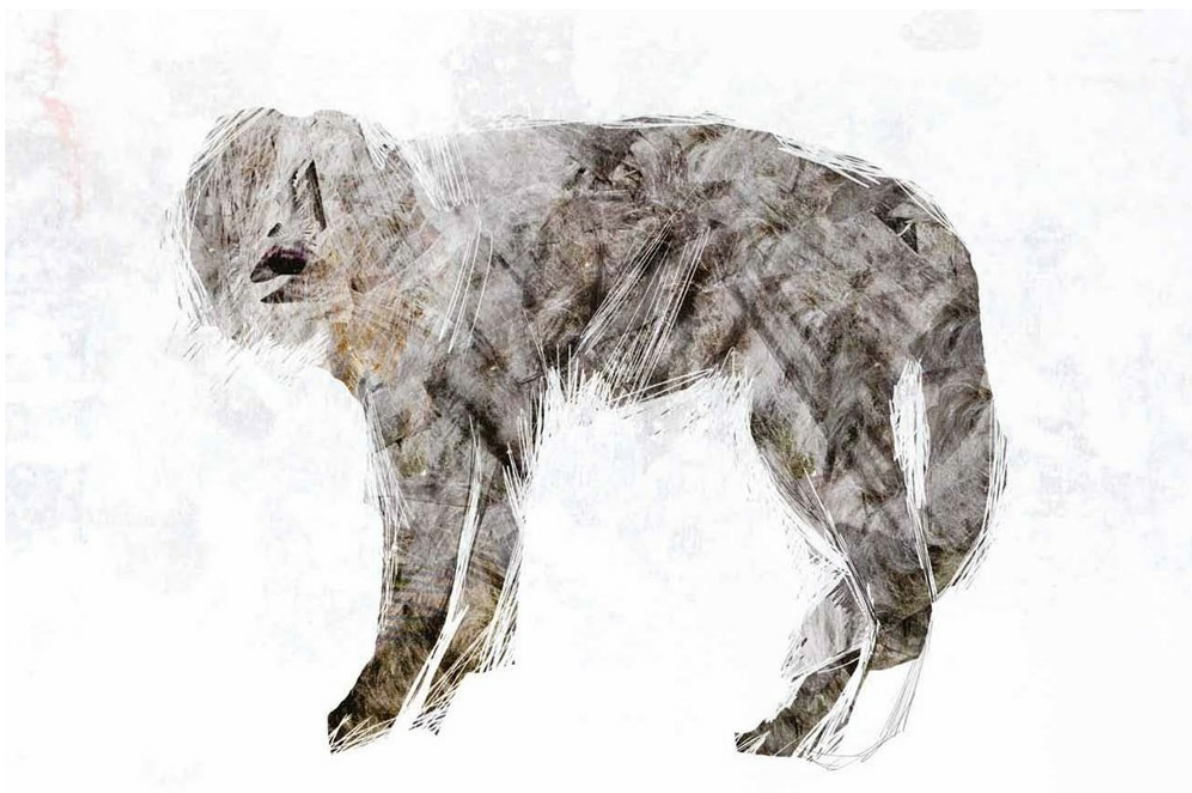
– Nieważne. Temu psiakowi trzeba pomóc – zdecydowała Nuria. – Trzeba go nakarmić, i to natychmiast.

Pojechaliśmy do pobliskiego sklepu, żeby kupić jedzenie dla psów.

Rozdział 5.

KOPERTA PEŁNA CUDÓW

Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, zobaczył dwoje ludzi wysiadających z samochodu. Ani samochód, ani ludzie nie wróżyli niczego dobrego. A jak z białego budynku wyszedł jeszcze ten trzeci, to zrobiło się naprawdę niedobrze, bo zaczęli mówić podniesionymi głosami. Ale Lolek nie miał już siły biec, nie miał siły uciekać. „Skoro mają mnie bić, to niech biją”, pomyślał zrezygnowany. Zrobił kilka kroków i schował się za rogiem jednego z budynków. Tam czekał na to, co miało się stać. Ale głosy ucichły.



Trzasnęły drzwi samochodu, zawarczał silnik i wszystko się uspokoiło. Lolek przyczajony za ścianą budynku zaczął się pogrążyć we śnie pomieszany z jawą. Ocknął się, gdy znów usłyszał warczący silnik samochodu. Ponownie trzasnęły drzwi. A jakiś głos całkiem spokojnie powiedział:

– Gdzie jesteś, piesku?

Po chwili stało przed nim dwoje ludzi. Jeden człowiek miał niski głos, co nie kojarzyło się z niczym dobrym, a drugi, ten mniejszy, miał głos miękki i bardzo miły. Na szczęście stanęli cztery długości psiego skoku od Lolka, czyli było bezpiecznie.

– Boi się bardzo, nie podchodźmy do niego – powiedział człowiek z niskim głosem. A drugi, ten od miłego głosu, wyjął z kieszeni coś, co przypominało kolorową kopertkę. Szarpnął za krawędź, a potem wyrzucił z niej na ziemię jakiś przedmiot. Zapachowe cząsteczki bardzo szybko się od niego oderwały. Parę sekund później wdarły się

przez nocha Lolka do mózgu, a całe ciało dostało informację, że oto kilka metrów dalej znajduje się coś nieznanego, ale sądząc po zapachu, bardzo pysznego. Pachniało cudownie. Krew zaczęła krążyć szybciej. Zebrał w sobie siły i podszedł do tego czegoś. Szedł trochę skulony, a tuż przed tym aromatycznym cudem przywarł do ziemi. Tak na wszelki wypadek – gdyby ludzie wpadli na pomysł, żeby go jednak uderzyć. Ale nic takiego się nie stało. Nawet odsunęli się trochę dalej. A to coś, co zostawili na zamrożonym betonie, było najpyszniejszą rzeczą, jaką Lolek jadł w swoim psim życiu. Kiedy już to połknął, ludzie położyli przed nim kolejną porcję. Równie wspaniałą. Lolek jadł łapczywie i z każdym kęsem czuł, jak wraca do niego życie.



– I co my mamy zrobić z tym pieskiem? – spytałem Nurii.

– Nie wiem, na pewno nie możemy go tak zostawić – powiedziała trzeźwo. I wydała mi dyspozycję: miałem się natychmiast udać do miłego pana mechanika i poprosić go bardzo grzecznie, żeby nie wyganiał psa z terenu zakładu. Bo będziemy tu codziennie przyjeżdżać i go karmić, a jak już się oswoi, to znajdziemy dla niego jakiś dom.

– Pewnie! Nie ma sprawy – zareagował na tę propozycję pan mechanik. – Zostawię mu otwarte drzwi magazynu. Będzie miał gdzie się schować, jak będzie zimno. Poza tym mamy tam trochę trocin do palenia, na których może się położyć.

– Będziemy tu codziennie – zapewniła pana mechanika Nuria.



Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, nie mógł uwierzyć, że nagle

jego życie się tak odmieniło. Dostał do jedzenia coś tak pysznego, że od tej pyszności aż kręciło mu się w głowie. W dodatku po dwóch psich godzinach (czyli po połowie ludzkiej godziny) znów pojawiła się przed nim potężna porcja mięsa w galaretcie. Co z tego, że na dziedzińcu wjeżdżały kolejne samochody, a ludzie wchodzili i wychodzili z budynku. Miał pełny brzuch i to było najważniejsze. A potem, gdy już zrobiło się ciemno, ktoś z trzaskiem w końcu zamknął bramę w niebieskim ogrodzeniu i Lolek, który jeszcze nie był Lolkiem, poszedł tam, skąd dochodził najintensywniejszy zapach, ten sam, który przywiódł go w to szczęśliwe miejsce. Przez uchylone drzwi wszedł do składziku, w którym leżała wielka góra świerkowych, pachnących żywicą trocin. Wdrapał się na nią. Zakręcił się w miejscu, udeptując lekko trociny, po czym zwinął się w kłębek i zasnął. Śniło mu się, że znów jest małym szczeniakiem i że zaraz obudzi się w przytulnej budzie mamy.

Spał długo. Chwilę po tym, jak się obudził, przyjechało tych dwoje ludzi od jedzenia w kolorowej kopercie. Już ich rozpoznawał i rozróżniał. Jeden był większy, a drugi mniejszy. Ten większy miał jasne włosy pod czapką i coś ciemnego na twarzy, ten drugi, z bardzo przyjemnym głosem, nie miał niczego na twarzy, tylko bardzo długie czarne włosy wystające spod czapki. I to właśnie on znów trzymał pyszności, które po chwili położył przed Lolkiem. Kolejnego dnia tak samo i jeszcze kolejnego też. A po kilku dniach, choć nie pozwalał się im do siebie zbliżyć na odległość mniejszą od jednego psiego skoku, końcówka ogona sama rwała się do nieśmiałego machania z radości. I tak z każdym spotkaniem coraz bardziej.

Być może przeciętny pies, który ma dom, kręciłby nosem na takie warunki, jakie miał Lolek, który nie był Lolkiem. Ale on był szczęśliwy. Ludzie chodzili wokół, ale nikt go nie bił. Codziennie dostawał pyszne jedzenie i miał w magazynie swój kącik do spania

z pachnącymi trocinami. Zresztą było coś lepszego od trocin. Magiczne miejsce. W magazynku wśród różnych gratów stał stary fotel. Wystarczyło na niego wskoczyć i od razu robiło się wyjątkowo dobrze, bo wreszcie nie ciągnęło tak bardzo chłodem od betonowej podłogi. Na tym fotelu czuł się naprawdę bezpiecznie.



Rozdział 6.

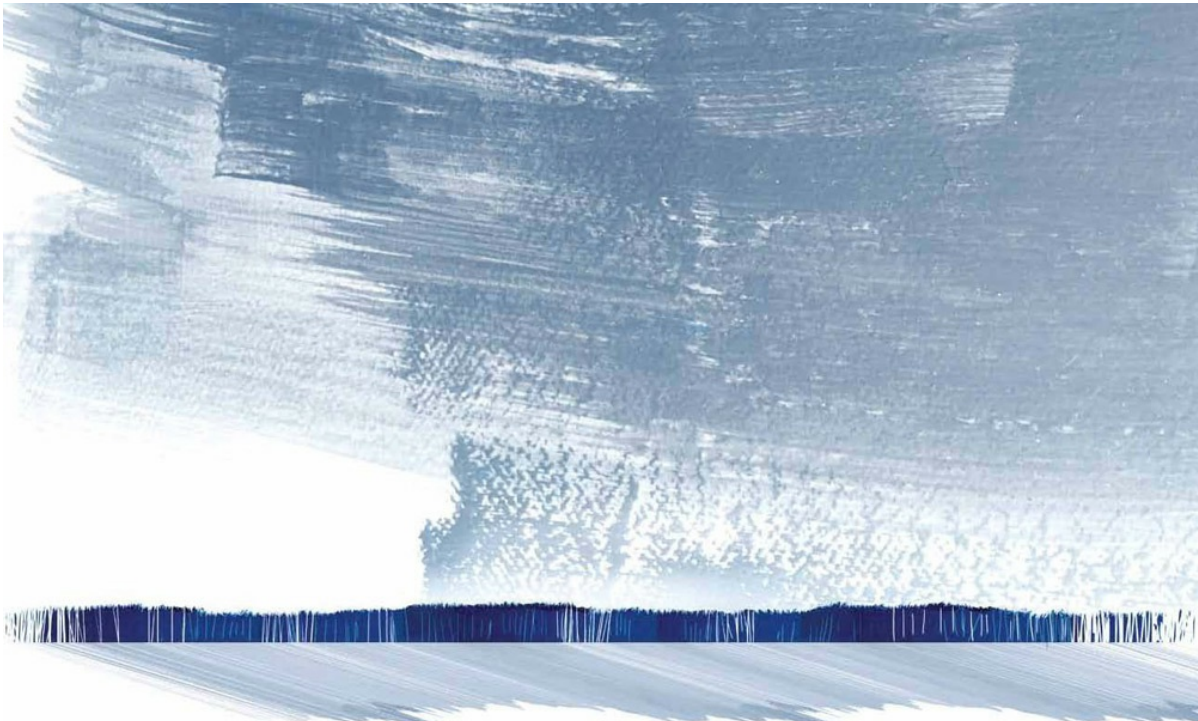
ZDRADA NOWYCH LUDZI

– Za trzy dni muszę jechać do Krakowa – powiedziała Nuria.

Wiedziałem, co to oznacza. Jak nie będzie Nurii, to przecież sam nie pojedę do miasteczka karmić psa. Wiele lat temu z czystego lenistwa nie zrobiłem prawa jazdy. Choć nie powiem, nauka jazdy po mieście bardzo mi się podobała, to jednak wiele rzeczy – jak choćby wędrowanie po lesie czy podglądanie ptaków – wydawało mi się znacznie ciekawszych niż chodzenie na kursy i rozwiązywanie testów. I choć nauczyłem się radzić sobie w życiu bez samochodu, to w takich momentach jak ten brak prawa jazdy był kłopotliwy. Musieliśmy szybko zdecydować, co robimy ze znajdą ze stacji kontroli pojazdów. A wyjście wydawało się tylko jedno. Trzeba będzie psa jakimś podstępem złapać i przywieźć do nas do domu. Ale to nie było łatwe zadanie. Owszem, na nasz widok biegł w podskokach jak jakiś koń. I merdał ogonem jak szalony. Nie mogliśmy się jednak do niego zbliżyć. Nie było mowy o dotykaniu, tym bardziej o głaskaniu. Gdy tylko pies widział wyciągniętą do niego rękę, odskakiwał i już nie podchodził. W końcu udało nam się podejrzeć, co robi, gdy znika za uchylonymi drzwiami magazynku

z trocinami. Sprycula wskakiwał na stary fotel, który tam stał wśród różnych gratów. Kiedy sobie leżał na tym fotelu, udawało się nam do niego zbliżyć, a nawet raz go dotknąć. Oczywiście po tym dotknięciu zaraz zwiął, ale fotel wydawał się dla nas jakąś szansą.

– Dobra, złapiemy go – powiedziałem Nurii, ale miałem, muszę przyznać, wielkiego stracha. Bałem się, bo nie wiadomo, co ten pies przeszedł. Nic o nim nie wiedzieliśmy. Był w takim stanie, że nie dało się nawet stwierdzić, czy jest stary, czy młody. A taka psia niewiadoma może różnie zareagować na łapanie. A jeśli jest zupełnie stuknięty i dlatego ktoś się go pozbył? Albo strasznie agresywny i atakował ludzi, dlatego nikt go nie chce? Lub przeszedł tyle, że kompletnie mu odbiło? Zresztą, co tu rozważać – każdy normalny pies na przemoc będzie reagował tylko w jeden sposób. Będzie się bronił, czyli gryzł. Ale nie mieliśmy wyjścia. Wzięliśmy obrozę i smycz, która należała do Antonii.



Kiedyś mój mistrz dziennikarski Julek Rawicz, który przygarniał na swojej działce wszelkie możliwe psy i znał się na nich jak mało kto, powiedział mi, że każdy, nawet najdzikszy pies w głębi duszy marzy o tym, żeby być z jakimś człowiekiem. I że wystarczy takiemu superdzikusowi nałożyć obrozę i to jest znak, że już ma swojego człowieka, i od tego od razu się uspokaja. Teraz uczepliłem się tej wiary w magiczną moc obroży jak rzep psiego ogona, ale na wszelki wypadek ubrałem się w starą kurtkę, pod którą założyłem dwa polary. Dodatkowo do kieszeni wsadziłem grube rękawice sięgające do łokci, które służyły mi do przytrzymywania dzikich zwierzaków w czasach, gdy prowadziliśmy ośrodek ich rehabilitacji. Tak przygotowany wziąłem pod pachę to, co w tej akcji było kluczowe, czyli kawał pachnącej kiełbasy.



Och, co to była za radość, gdy jak co dzień przyjechali do warsztatu samochodowego ci ludzie, którzy przywozili smakołyki. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, skakał uradowany, oczywiście w bezpiecznej odległości jednego psiego skoku. Tylko zaniepokoiło go to, że tym razem byli trochę inni niż zwykle. W człowieku z niskim głosem i tym z miękkim głosem dało się wyczuć lekką nerwowość. „Ale może to tylko złudzenie”, pomyślał Lolek. Pyszne jedzenie, choć nie było go za wiele, jak zwykle przyniosło błogą senność. Lolek przez uchylone drzwi wślizgnął się do magazynu i wskoczył na fotel. Ludzie weszli za nim. Nie bał się, bo już kilka razy tak robili. Zbliżyli się, a człowiek o miękkim głosie podsunął mu pod nos cudownie pachnącą kiełbasę. Ugryzł kawałek. Człowiek z niskim głosem też się zbliżył. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Gdy na ułamek sekundy zamknął oczy z rozkoszy, ten z niskim głosem

wykorzystał sytuację i przez głowę nasunął mu na szyję coś, co może i było miękkie, ale przypominało pętlę łańcucha. Lolek próbował uciec, ale okazało się, że znów jest na uwięzi, tak jak wtedy przy budzie. Tym razem szarpanie się nic nie dało. Pętla była solidna i nie można było jej zerwać. Po chwili człowiek z niskim głosem stanął tuż przy nim i wyciągnął do niego ręce. Były jakieś dziwne. Wyglądały, jakby mu nagle urosły i zamieniły się w potworne łapska. Całe psie ciało sparaliżował strach.



Bałem się. Obrożę udało nam się w miarę sprawnie założyć. Chwila nieuwagi dzięki kiełbasie podsunętej przez Nurię i pies już ją miał na szyi. Ale była zbyt luźna. Do obroży przypięta była smycz, na której pies przez chwilę szarpał się jak ryba wyciągnięta z wody. W każdym momencie mógł wyjąć głowę z obroży, tak jak to robiła wiele razy nasza sprytna suczka Antonia. To dlatego do lasu na tropienie wilków zakładaliśmy jej szelki. Z nich nie była się w stanie uwolnić, a przynajmniej nie od razu. Teraz ta sama obroża tkwiła na szyi dzikiego psa. I to nie jakiegoś małego, ale sięgającego mi prawie do kolan. Musiałem go jak najszybciej złapać. I tego się naprawdę bałem. A jak mnie pogryzie? Założyłem rękawice i pomyślałem: teraz albo nigdy. Chwyciłem go mocno, chociaż zupełnie niefachowo. Pysk miał obok mojej twarzy. Gdyby kłapnął zębiskami, straciłbym nos albo ucho. Ale stało się inaczej. Od razu poczułem, jak drętwieje ze strachu. Z przerażenia serce waliło mi jak szalone. Właściwie to nie wiedziałem, które tak waliło – moje czy jego. Najpewniej i jedno, i drugie. „Nuria, otwieraj samochód”, pomyślałem. A Nuria, jak zawsze, wyprzedziła moje myśli. Już stała przy otwartym aucie. Położyłem psa z tyłu za siedzeniami i szybko zamknęliśmy drzwi. Sam usadowiłem się z tyłu, żeby mieć go pod

kontrolą. Pozostawało mi liczyć na to, że nic temu dziwnemu psu nie strzeli do głowy. Ale był spokojny, jakby zupełnie zrezygnowany. Wcisnął pysk w szparę między siedzeniem a ścianą auta. Tak jakby nie chciał widzieć, co się dzieje wokół niego. Ruszyliśmy do domu.

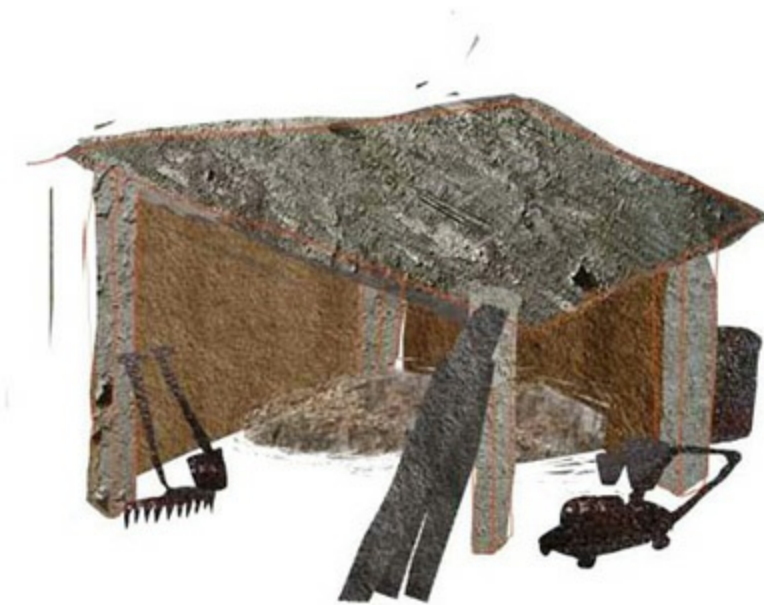


„Ludzie to podli zdrajcy. Kiedy im zaufasz, i tak cię oszukają. Najpierw karmią i są tacy mili, a potem pętla na szyję i cap. Jesteś na uwięzi”. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem, ale już wkrótce miał nim zostać, był smutny i przerażony. Smutny, bo znów ktoś go oszukał, jego psia lojalność po raz kolejny została podeptana. Chwila nieuwagi wywołana pyszną kiełbasą wystarczyła, żeby założyli mu pętlę na szyję. Przerażony, bo nie wiedział, gdzie tym razem niesie go warczący potwór. Zresztą nieważne gdzie, był pewien, że tak jak wtedy, gdy był małym szczeniakiem, podróż nie może się skończyć niczym dobrym. Miał naprawdę dosyć. Nie chciał wiedzieć, co się z nim będzie działo i co ci potworni ludzie z nim zrobią. Dlatego wcisnął łeb w szparę, żeby nie patrzeć, co szykują.

Po dwóch psich godzinach (czyli ludzkiej półgodzinie) samochód się zatrzymał. Zaskrzypiała brama, a potem ktoś otworzył drzwi auta. Mocne ręce wyciągnęły go na zewnątrz. Chociaż próbował się bronić, ile sił w łapach.

– Biedaczek. Zwymiotował ze strachu – powiedział ten przyjemny głos zupełnie łagodnie. Ale w tej chwili nie było to ważne. Dokładnie od momentu, w którym jego łapy dotknęły ziemi, Lolek myślał tylko o jednym: jak stąd uciec. Kiedy znalazł się na ziemi, jak szalony ruszył przed siebie, najpierw w jedną, a potem w drugą, w trzecią i w czwartą stronę, ale wszędzie natykał się na wysoki drewniany płot albo metalową siatkę. Wystarczyło parę minut, żeby się zorientować, że całe podwórko jest ogrodzone, a bramę przebiegli

ludzie zdążyli zamknąć. Jeszcze raz bardzo dokładnie sprawdził płot, ale nigdzie nie było nawet najmniejszej dziury, przez którą mógłby się wydostać. Był w pułapce. Na dodatek dom, przy którym stali ludzie, był żółty jak żółtko jajka. Wszystko, co najgorsze, powróciło. Na szczęście zauważył wiatę, pod którą walała się masa drewna i innych gratów. Szybko tam wbiegł i wcisnął się w najgłębszy kąt. Przycupnął w szczelinie między stertą desek a ścianą. Drżał z zimna i ze strachu. I choć wyglądał na kompletnie zrezygnowanego, na takiego, któremu wszystko jedno, co się dzieje dookoła, to jednak jego nos szybko rejestrował miejscowe zapachy.



Kiedy jest mróz i śnieg, nie ma ich zbyt wiele, ale znad olbrzymiej łąki i czarnej ściany wielkiego lasu dochodziły wyraźnie zapachy przypominające mieszkańców pól. Niby podobne, a jednak trochę inne. Dziksze i mocniejsze. Pociągnął nosem jeszcze raz, żeby odkryć, co to takiego, ale nie wyczuł już nic poza zwodniczo cudownymi zapachami z domów, co przecież niczego dobrego nie wróżyło.

A potem przez moment wydawało mu się, że wyczuł coś jeszcze. Słabiutki, bardzo delikatny i jakby przerywany zapach psów, które kiedyś mieszkały na tym podwórku. Nie było czuć ani strachu, ani smutku. To był zapach szczęśliwych psów z zamierzchłej psiej przeszłości.

Rozdział 7.

IMIĘ Z ANDALUZJI

– Co to za biedak? – spytał, stojąc za bramą, nasz przyjaciel i sąsiad Marek. Kiedy mu opowiedzieliśmy całą historię, trochę wzruszony dodał:

– Może i on źle teraz wygląda, ale będzie z niego najlepszy przyjaciel, bo poza psią miłością do ludzi ma coś jeszcze. Poznał życie.

Na chwilę straciliśmy psa z oczu, a po chwili zobaczyliśmy, jak z podkulonym ogonem wbiegł pod wiatę. Rąbię w niej drewno i trzymam masę różnych gratów. Gdy tam zajrzeliśmy, zobaczyliśmy, że leży wciśnięty między deski i ścianę wiaty. Bardziej się schować nie mógł. Nie chcieliśmy być nachalni. Obok postawiliśmy wielką miskę, która kiedyś należała do Antonii, z odrobiną jedzenia. Takiego samego jak to, które dawaliśmy mu na dziedzińcu stacji kontroli pojazdów. Ale tym razem nie tknął niczego. A kiedy wziąłem trochę karmy na rękę i podsunąłem mu pod nos, to odwrócił głowę. Nie dlatego, że nie był głodny. Z pewnością burczało mu w brzuchu, bo tego dnia jeszcze w stacji kontroli pojazdów specjalnie nie karmiliśmy go zbyt obficie. Domyślaliśmy się, co jest przyczyną jego niechęci do jedzenia i do nas. Zwyczajnie czuł się oszukany. Ale przecież musieliśmy go złapać i tu przywieźć, bo inaczej nie moglibyśmy go uratować. Teraz trzeba było odbudować psie

zaufanie. No i zastanowić się, czy ma zostać u nas, czy też mamy szukać mu innego domu.

Po godzinie znów byliśmy pod wiatą. Nie ruszył się z miejsca, ale przynajmniej zjadł podsunięte mu jedzenie.

– Trzeba mu tu zrobić jakieś poślanie – zdecydowała Nuria.

Tego dnia miał być w nocy siarczysty mróz. Wyciągnęliśmy stare palety, na których ułożyliśmy słomę, a na to jeszcze koce. Wszystko stanęło w kącie, w którym najmniej wieje. Zanim zostawiliśmy go samego, jeszcze na chwilę do niego podeszliśmy. Na wyciągniętej dłoni dałem mu kawałek psiej karmy z puszki. Tym razem nie odwrócił głowy, tylko delikatnie ją chwycił i zjadł. Powoli przysunąłem dłoń bliżej i go pogłaskałem. A Nuria powiedziała:

– Będzie dobrze, piesku.



„Nic, ale nic się nie zgadzało”, dziwił się Lolek. Ludzie oszukali go i zdradzili, to było pewne. Całe to karmienie służyło tylko temu, aby podstępem go schwytać i wsadzić do warczącej maszyny. Żółty jak żółtko dom, z którego pachniało wspaniale, niczego, ale to niczego dobrego nie zapowiadał. Ale choć z jednej strony zdradzili i oszukali, to z drugiej nie robili nic złego, nic, co by bolało, a nawet wręcz przeciwnie. Ten człowiek z miękkim głosem i ten z niskim głosem byli bardzo spokojni. Żadnego krzyczenia. Żadnych uderzeń. Nic. Nie stłukli go nawet za wymioty w warczącej maszynie. A przecież mogli, bo nie byłoby ani gdzie, ani jak uciec. I jeszcze przychodzą z tym pysznym jedzeniem, które nie wiadomo, czy jeść, czy nie jeść, bo a nuż to jakaś kolejna pułapka. No, a najdziwniejsze stało się przed chwilą. Człowiek z niskim głosem pogłaskał go po grzbiecie. Pogłaskał! Ależ to było przyjemne – dotyk dłoni człowieka przez parę sekund. Lolek, który nie był jeszcze Lolkiem,

pierwszy raz coś takiego poczuł. Nawet jeżeli ktoś go kiedyś pogłaskał, to było to tak dawno temu, że już tego nie pamiętał. Postanowił, że skoro tak, on też oszuka ludzi. Od tej pory będzie się stosował do wszelkich zasad, których się kiedyś nauczył. Czyli będzie spał pod szopą, nie będzie podchodził do domu, a kupę będzie robił w kącie pod płotem. A gdy tylko nadarzy się okazja, pryśnie.



To było bardzo dziwne. Minął tydzień od przywiezienia tego psa. Gdy wychodziłem z domu z pełną miską, wybiegał z szopy, podskakując jak radosny konik. Ale był jak na niewidzialnej smyczy. Odbiegał góra 15 metrów od wiaty i za żadne skarby nie chciał się ruszyć dalej. Podejść do garażu? Nigdy w życiu! A do domu? Tym bardziej nie ma mowy!

– Co za głupi piesek – zażartowałem.

– On nie jest głupi – natychmiast odpowiedziała Nuria. – On po prostu wiele przeszedł. Zresztą głupi i niezbyt odważny piesek nigdy by nie uciekł od ludzi i by sobie bez nich nie poradził. A on dał radę. A w ogóle to nie ma głupich piesków – dodała.

Wymyśliliśmy, że będziemy jego miskę codziennie stawiać o kilka metrów bliżej domu. I dzięki temu powoli się przyzwyczai i oddali od szopy, pozna całe podwórko.



Trzymanie się blisko szopy to nie był jedyny problem. Nowy mieszkaniec naszego podwórka miał zamiast sierści ohydne zbite kołtuny tworzące coś w rodzaju mniejszych lub większych strupów z włosów. Trzeba było jakoś je usunąć. Tylko gdy podchodziłem z nożyczkami, strasznie się bał. I od razu uciekał z podkulonym ogonem. A może by tak spróbować maszynką, którą strzygę sobie brodę? – pomyślałem. Maszynka okazała się strzałem w dziesiątkę. Byczyła, ale pies się jej nie bał. Miał nawet taką minę, jakby był zadowolony. Może to wibrowanie przyjemnie go łaskotało. Odcinałem jeden kołtun za drugim, a przy okazji mogłem zobaczyć, co się kryje pod jego włosami. Na szyi miał ślad po uwięzi. Właściwie trudno to nazwać śladem. To była blizna. Drugą bliznę znalazłem na grzbiecie. Taką trójkątną, jakby ktoś ostrym narzędziem odciął kawałek skóry. Aż mnie przeszedł dreszcz, kiedy to zobaczyłem.

Nie mieliśmy pojęcia, w jakim jest wieku. Niektórym przez siwe włosy i smutne oczy wydawał się bardzo stary. Doktor, który przyjechał, żeby go zaszczepić, stwierdził, że ma dwa lata. Ale już w czasie następnej wizyty tydzień później uznał, że ma nie więcej niż rok.

– Piesku, wszyscy się starzeją, a ty młodniejszy – żartowaliśmy z Nurią.

I rzeczywiście. A najbardziej to było widać po oczach, które robiły się coraz weselsze.

W końcu nadszedł moment, w którym trzeba się było zdecydować, czy zostaje u nas. Problem rozwiązał się sam.

– Wiesz, damy mu na imię Lolo, bo to bardzo andaluzyjskie i radosne słowo – stwierdziła pewnego dnia Nuria, która pochodzi z gorącej Andaluzji, gdzie rzeczywiście jest bardzo radośnie.

– Lolo, czyli zdrobniale Lolek – odpowiedziałem. I wszystko było jasne. Bo skoro znaleźliśmy imię dla Lolka, to znaczy, że się odnaleźliśmy i że zostaje z nami. Nadawać imię mogą tylko odnalezieni ludzie odnalezionym psom.

Rozdział 8.

MAGICZNA MOC KURCZAKA

„Lolo, Lolek” – tak na niego wołali. Lolek, który został Lolkiem, od razu zrozumiał, że to jego imię. Pieski chwytają to w lot, bo ludzie słowo, które jest imieniem, bardzo często powtarzają. Robią przy tym dziwne miny albo klepią się rękami po udach, czasem najpierw wykrzykują to słowo, a zaraz potem gwiżdżą. Tego poprzedniego, pierwszego imienia już nie pamiętał. Zatarło się. Tak samo jak myśl o tym, żeby zwać. Był szczęśliwy. To byli jego ludzie, ci prawdziwi. I to było jego podwórko. Ze swojej szopy spokojnie podchodził już pod garaż, a czasami zbliżał się nawet do domu.



Oczywiście wciąż była cała masa strachów. Bo jak człowiek brał do ręki coś długiego, Lolek natychmiast zaczynał się bać. Albo jak mu zakładali na szyję obrozę, też paraliżował go lęk. „O co chodzi z tą pętlą?”, nie rozumiał. Podobnie jak tego, że ludzie chodzili do żółtego domu. „Po co tam chodzić?”, myślał. Nic, ale to nic nie zmusi go, żeby tam wejść. W środku mogą przecież siedzieć ukryci ci bardzo źli ludzie, których zapamięta na całe życie. Kiedy tylko człowiek z miękkim głosem i ten z niskim głosem tam wchodzili i wołali go stamtąd przez otwarte drzwi, to kręcąc ogonem, skakał przed wejściem. Chciał im pokazać, żeby lepiej wyszli, bo w tym domu jak zresztą w każdym może być strasznie. Lepiej tam za długo nie być, a najlepiej w ogóle trzymać się od niego z daleka. Już on to dobrze wiedział. Żadne frykasy nie sprawią, że zmieni zdanie.



Z Lolkiem właściwie wszystko szło dobrze. Chociaż dość opornie. Opuścił wiatę i przeniósł się na otwartą werandę na froncie domu. Pewnie chciał być bliżej nas. Zrobiliśmy mu tam poślanie, ale to nie było najlepsze miejsce. Kiedy zaczął deszcz, to i poślanie, i Lolek w jednej chwili byli mokrzy jak niewyciśnięty mop. A jak padał śnieg, nasz pies wyglądał niczym bałwan. Próbowałem go zachęcić do zamieszkania w budzie naszych psów, ale nic z tego. Gdy pewnego dnia podstępem złapałem go i wniosłem za próg domu, najpierw zdrętwiał ze strachu, a potem czmychnął z podkulonym ogonem i popatrzył na mnie strasznie obrażony. Zdrętwiał ze strachu także wtedy, kiedy pierwszy raz po przyjeździe do domu założyliśmy mu obrozę. Stał pod płótem bez ruchu z szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Potem do tej obroży przypiąłem jeszcze smycz, i to już była zupełna katastrofa. „I co, mamy nigdy nie pójść na żaden spacer?“, smuciłem się. A jeśli trzeba będzie gdzieś z nim pojechać? Całe życie spędzi na podwórku, serio?

– Musisz mu dawać jakieś przysmaki w nagrodę – poradziła Karolcia, która szkoli psy i której podopieczny był kiedyś najlepszym w Polsce psem szukającym zaginionych ludzi. Ale jak przekonać Lolka, skoro gdy tylko drętwiał ze strachu, to nic, ale to nic go nie obchodziło. Mogłem mu podtykać pod nos najlepsze smakołyki i nawet ich nie tknął. Słabo to wszystko wyglądało.

Aż pewnego dnia pod koniec zimy przyjechał do nas mój przyjaciel Andrzej, z którym robię filmy o przyrodzie. Chciał pokazać żubry swoim przyjaciołom z Włoch, a poza Włochami przewiózł też swoją córkę Polę. Pola miała 11 lat i była dziewczyną z charakterem i własnym zdaniem. Szybko się z Lolkiem dogadali, tak że w końcu, zamiast chodzić za żubrami, wołała siedzieć z nim na podwórku. Któregoś razu pojechaliśmy razem na zakupy do wielkiego supermarketu. Wrzuciłem do wózka ziemniaki, mleko, groszek

w puszcze, i jeszcze mnóstwo innych rzeczy, a na końcu zatrzymałem się przy stoisku z rzeczami dla zwierząt. „Może by kupić Lolkowi taką plastikową gałkę na linie” – przeleciało mi przez myśl. Prosta, fajna zabawka. A nuż pomoże.

– Weź kurczaka – nagle obok wózka wyrosła Pola. Nie chodziło jej o zwykłego kurczaka z działu mięsnego, tylko o takiego gumowego, żółtego z czerwonym grzebieniem, który jak się go nacisnęło, to piszcział.



– Pola, kupię mu lepiej tę kulkę na lince, jest prosta i fajna. Ale kurczaka nie. Nasze psy nigdy nie miały takich zabawek. Jakąś piłkę,

owszem, ale gumowy piszczący kurczak to jakaś kosmiczna ekstrawagancja – próbowałem jej wytłumaczyć.

Ale ona pokręciła głową z dezaprobatą, jakbym zupełnie nic nie rozumiał. Ściągnęła kurczaka z wieszaka, na którym wisiał rząd podobnych do siebie niczym klony ptaków, i wrzuciła mi do wózka z zakupami. Co miałem robić? Wyklócać się z tą upartą małolatą? Kupiłem go. Dla świętego spokoju. A po chwili pomyślałem sobie, że dzieci i psy mogą mieć jakieś tajemnice, o których my, dorośli, nie mamy pojęcia.



Wróciliśmy do domu.

– No to daj tego kurczaka – powiedziała Pola.

Rzuciła go Lolkowi. I wtedy stało się coś niezwykłego. Lolek, kiedy zobaczył, a raczej usłyszał pisk gumowej zabawki, oszalał. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie widziałem. To była miłość i fascynacja

od pierwszego wejrzenia. Chwycił kurczaka w pysk, a gdy ten zapiszczał, Lolek podskoczył z radości niczym brykający po łące żrebak. Podrzucał sobie tego kurczaka kilka razy, potarł go trochę, ale bardzo delikatnie, a później zaniósł na swoje poślanie. Myślałem, że zaraz zacznie go gryźć i szarpać, tak jak to robią psy z gumowymi zabawkami, ale on położył go jak najcenniejszą rzecz i zasnął.

Szybko się okazało, że kurczak dla Lolka ma wielką wartość i że dzięki niemu nasz pies pokonuje swoje strachy. Na przykład przestał się bać obroży i smyczy, bo co z tego, że mu je zakładałem, skoro zaraz potem bawiliśmy się kurczakiem. Potem za sprawą zabawki powoli zaczął wchodzić na drugą werandę, taką z boku domu, zamkniętą i zadaszoną. Kładliśmy mu kurczaka najpierw tuż za progiem, a potem trochę dalej i dalej. Z początku się bał i wyciągał kurczaka z wnętrza pomieszczenia z taką ostrożnością, jakby musiał coś wyciągnąć z rozżarzonego pieca. Ale stopniowo wchodził coraz dalej i dalej.

Próbowałem zrozumieć, na czym polega niezwykła moc gumowego kurczaka.

– Nigdy się tego nie dowiesz – powiedział mi nasz kolega Rafał, który ma cały zaprzęg wspaniałych psów, jeździ z nimi w lodowe krainy i widział niejedno psie życie. – Czasami tak bywa, że pies odnajduje jakiś przedmiot i już nie chce się z nim rozstać. Kiedyś miałem psa, który nie wyobrażał sobie życia bez kawałka szmatki. Miał ją stale przy sobie. Co w niej widział, nie wiem, ale myślę, że może te przedmioty mają dla psów moc magiczną. Po prostu pozwalają im pokonać strach. Ludzie też często potrzebują czegoś takiego.

Rozdział 9.

JA PILNUJĘ TEGO DOMU

Była mroźna zimowa noc – taka z iskrzącymi się na niebie gwiazdami i skrzypiącym pod nogami śniegiem. Minęły właśnie cztery psie lata (czyli jeden ludzki rok) od czasu, gdy zobaczyliśmy się z Lolkiem pierwszy raz na stacji kontroli pojazdów na skraju Puszczy i miasteczka, tam, gdzie kończą się wielkie pola. Lolek spał sobie spokojnie na przytulnej werandzie na swoim nowym pościeliu. Już zupełnie nie bał się tu wchodzić, a gdy padał deszcz, grzecznie czekał pod drzwiami, żeby go wpuścić. Nie lubił wilgoci, bo woda zlepiła jego puchate kudły i robiło mu się naprawdę zimno.



Kiedy przychodziły siarczyste mrozy, też wolał spać na werandzie. Wciąż bał się jednak wchodzić dalej do domu. Chociaż parę dni wcześniej zrobił kilka małych kroków za próg. To był kolejny próg po progu werandy, który nieśmiało próbował przekroczyć. Nie traciliśmy nadziei, że w końcu spełni się marzenie Nurii i Lolek wejdzie do domu, a potem wskoczy na kanapę, tak jak to robili Antonia, Trapo i Misio. Siedzieliśmy sobie potem na tej kanapie wszyscy razem. Trochę ściśnięci, ale bardzo szczęśliwi.



Tego zimowego wieczoru Lolek miał inne sprawy na głowie niż wspólna kanapa. Kiedy tak spał, w lesie, i to gdzieś całkiem niedaleko, zawyły wilki. Słysząc było całą wilczą rodzinę. Stare wyły z godnością i przeciągle, a młode chaotycznie, bez ładu i składu. Wilki wyją tak, gdy mają jakąś ważną sprawę. Zwołują się, żeby iść polować albo gdy coś upolowały. Lolek od razu to usłyszał – ma naprawdę świetny słuch – i zerwał się z pośłania, po czym podbiegł do drzwi.



„Znam ten dźwięk!”, pomyślał Lolek. Słyszał go pierwszy raz w życiu, ale od razu poznał, do kogo należy. Nie miał nic do wilków, czasami czuł ich zapach przychodzący z lasu. Taki niby psi, ale nie do końca. Znacznie bardziej dziki i niezależny. Gdy dziś usłyszał to wycie, na początku trochę się przestraszył, bo było w tym dźwięku

coś prastarego i dziwnego. Ale musiał na to zareagować. Tak jak wtedy, gdy za płotem po raz pierwszy zobaczył te wielkie niczym góra stworzenia. Były brązowe i miały dziwne, ostre i zawinięte narośla na głowie. Chodziły po łące powoli i z godnością. Widać było, że tu rządzą. Ale kiedy zbliżyły się do jego płotu, zaczął szczekać. Może dlatego, że nigdy wcześniej nie widział niczego tak wielkiego, a może dlatego, że z każdym dniem czuł się tu coraz bardziej u siebie. Tych mniejszych, które mają na głowie ozdoby niczym gałęzie, przychodzą w nocy i są bardzo płochliwe, nie bał się nigdy. Od razu zobaczył, że są bardziej przerażone niż on.

Kiedy teraz usłyszał przeciągły dźwięk dochodzący gdzieś z lasu, zerwał się na nogi i drapnął łapą w drzwi. To był znak dla człowieka, żeby mu otworzył. Obudziła się w nim krew mamy, czyli krew owczarka, psa stróżującego. Drzwi się otworzyły, a on podbiegł do płotu z zawadiacko zakręconym puchatym ogonem zakończonym białym pędzelkiem. Oparł przednie łapy o płot i zaszczekał z mocą. „Ja pilnuję tego domu i tych ludzi oraz tego kurczaka”, oznajmił wilkom, do których nic nie ma, ale których odganianie to przecież sens życia owczarka.



Reakcja Lolka na wilki bardzo się nam spodobała, bo od tego czasu wiedzieliśmy, że jak Lolek tak szczeka, możemy wyjść przed dom posłuchać ich wycia. Następnego dnia rano poszliśmy na spacer na naszą łąkę. Jak co dzień. Nuria, Lolek, gumowy kurczak i ja. Kurczak oczywiście sam nie chodzi, tylko podróżuje w torbie przewieszanej przez moje ramię. Lolek już dawno przestał się bać obroży. Zresztą obroża po Antonii wróciła na półkę, a Lolek dostał własne szelki. Kiedy widzi, że biorę je do ręki, szaleje z radości.

Bo uwielbia spacerować. Chodzimy na nie tak koło południa, bo wtedy jelenie i inne zwierzęta zdążyły się już schować w lesie i nie ma obaw, że Lolek za nimi pogna. A zimą, gdy Puszcza i łąki przykryte są śniegiem, nie należy płoszyć zwierząt, bo mają wtedy na głowie masę kłopotów. Zresztą nigdy nie należy ich płoszyć. Tak

więc na naszych spacerach raczej nie spotykamy puszczańskich zwierząt. Czasami tylko natykamy się na żubry, na które Lolek na początku zawzięcie szczekał, ale teraz zupełnie już się z nimi oswoił. Co najwyżej podbiegnie do jednego z nich, szczeknie raz, a gdy żubr popatrzy na niego z politowaniem, Lolek biegnie dalej. Bo bieg, taki szalony, z rozwianym włosiem, uwielbia najbardziej. Budzi się w nim wtedy krew taty, którego też rozpierała energia. A jak mu rzucę kurczaka, to biegnie niczym błyskawica.

– Biegnij, Lolek, biegnij! – krzyczę za nim, a on biegnie tak szybko, że odrywa się od ziemi i wygląda, jakby leciał. Jest wtedy najszcześniejszy na świecie.



Postowie

Tak naprawdę nie wiem, co przeszedł Lolek, kiedy nie był jeszcze Lolkiem. To, co się z nim działo przed pojawieniem się na stacji kontroli pojazdów, próbowałem odtworzyć na podstawie jego zachowania i blizn, które znalazłem na jego ciele. Z pewnością miał okropne życie i myślę, że Nuria nie myli się, twierdząc, że zwyczajnie uciekł. Widziałem wiele psów, które były źle traktowane, ale nawet one rzadko opuszczają swoich ludzi. Psią lojalność bardzo trudno naruszyć. Oczywiście widziałem psy w typie włóczykija, poszukiwacza przygód, które potrafiły albo zmieniać właścicieli, albo powędrować gdzieś przed siebie, ale to wyjątkowe przypadki. Poza tym takie psy nie unikają ludzi i w końcu odnajdują tego kogoś jedyne. Lolek, kiedy nie był jeszcze Lolkiem albo był nim od niedawna, ludzi bał się potwornie. Wystarczyły trochę serca, dużo cierpliwości oraz kilka gumowych piszczących kurczaków – ten pierwszy już dawno się zużył, choć Lolek obchodzi się z zabawkami bardzo delikatnie – i po Lolku dziś trudno poznać, że jest psem po przejściach. Niby do domu, poza werandą, nadal nie chce wejść, a włożony do samochodu drętwieje ze strachu, ale na co dzień jest wesołym i skorym do zabawy psiakiem. Dokazuje i z ludźmi, i z psami, które do nas przyjeżdżają. Najbardziej lubi Korę ze Szczecina, Lu z Gdańska i Mimi z Bielska Podlaskiego. Dla nas to wielka radość, gdy widzimy, że jest szczęśliwy.

Myślę, że mój mistrz Juliusz Rawicz miał rację, mówiąc, że każdy

pies marzy o tym, aby być z jakimś człowiekiem, a wielu ludzi marzy o tym, by spotkać psa. Czasami wystarczy przypadek, żeby mogło się to zdarzyć, a czasami trzeba się trochę rozejrzeć. Dlatego tę książeczkę dedykuję wszystkim pieskom, które jeszcze nie odnalazły swojego człowieka, i wszystkim ludziom, którzy nie odnaleźli jeszcze swojego psa. A tym, którzy się już odnaleźli, życzę szczęścia.

ADAM WAJRAK

